

Prezydent zmarnowanych szans

26 kwietnia 2014

Zbliża się półmetek drugiej kadencji Baracka Obamy. W pewnym sensie niebawem też nastanie jej polityczny kres. W listopadzie odbędą się tzw. wybory śródkadencyjne (w których Partia Demokratyczna najprawdopodobniej straci kontrolę nad Senatem), po czym, uświęconym amerykańskim zwyczajem, rozpocznie się długa kampania prezydencka, spychając urzędującą głowę państwa na pozycję „kulawej kaczki”, pozbawionej, w ferworze walki politycznej, większych możliwości działania, poza zagadnieniami czysto administracyjnymi.

W związku z tym już teraz możemy pokusić się o szczątkową ocenę rządów pierwszego czarnoskórego prezydenta. Choć trudno zaprzeczyć, iż po przejęciu przez niego władzy nastąpiła poprawa (co, biorąc pod uwagę „dokonania” poprzednika, nie było przesadnie trudne), to jednak bilans nie jest zbyt imponujący. Zwłaszcza, gdy zestawimy realną treść działań 44. prezydenta z wielkimi oczekiwaniami, jakie wielu, włącznie z niżej podpisanym, żywiło przed sześcioma laty. Oczekiwaniemi, trzeba podkreślić, wcale nie oderwanymi od rzeczywistości.

Głównym grzechem obecnej administracji jest skupianie się prawie wyłącznie na tzw. essentials, sprawach bieżących. Sprawy bieżące są bardzo ważne, ale stanowią tylko część rzemiosła przywódcy. Przywódca, jeżeli nie chce być li tylko urzędnikiem z ładną rezydencją, musi pamiętać też o drugiej stronie: wykorzystywaniu swej pozycji do inicjowania śmiałych, dalekosiężnych projektów. Przekształcania kraju i społeczeństwa. Tymczasem wizjonerstwa wyraźnie w Białym Domu zabrakło. Nawet więcej, wizjonerstwa boją się tam niczym diabeł święconej wody.

Reformę służby zdrowia trudno zaliczać do kategorii „wizji”. W gruncie rzeczy była to sprawa czysto bieżąca. Amerykańskie

społeczeństwo zwyczajnie nie mogło dłużej znieść sytuacji, w której kilkadziesiąt milionów obywateli pozbawionych jest świadczeń zdrowotnych, a wielu pozostałych z trudem wiąże koniec z końcem, aby móc wykupić drogie polisy na rynku kontrolowanym przez stale śrubujące ceny korporacje. Obamacare, choć konieczne, okazało się też projektem mocno okrojonym i niedoskonałym. Trudno winić o to wyłącznie prezydenta, zważywszy na znaczną opozycję w łonie własnej partii wobec świadczeń publicznych. Jednak pozostaje uzasadnione wrażenie, iż Biały Dom nie miał wystarczająco dużo woli, aby starać się osiągnąć więcej.

Druga pałaca sprawa, ożywienie gospodarki, też przyniosło mieszane rezultaty. Administracja sama przyznała, iż uchwalony pakiet stymulacyjny był niewystarczający, a także źle przygotowany. Największymi beneficjentami okazali się rekin finansowi, podczas gdy drobnej przedsiębiorczości, szkolnictwu i służbie zdrowia rzucono przysłowiowe ochłapy.

Jedynymi na dobrą sprawę przykładami politycznej odwagi, jaką wykazał prezydent, było poparcie, w trakcie ubiegania się o drugą kadencję, równości praw małżeńskich dla homoseksualistów, oraz preforsowania zakazu dyskryminacji gejów w armii. Inicjatywy natomiast nie wykazano tam, gdzie możliwości były największa, to znaczy w sprawie amnestii dla „nielegalnych imigrantów”. Projekt ten pozostaje projektem, nie mającym już szans w obecnej kadencji, choć popierała do znaczna część republikanów.

Najbardziej widocznym w świecie rozczarowaniem jest polityka zagraniczna, na polu której Obama w zasadzie kontynuuje szkodliwe założenia republikańskich neokonserwatystów. Wprowadzone zmiany okazały się w gruncie rzeczy kosmetyką. Guantanamo wciąż funkcjonuje. Co prawda wycofano wojska z Iraku, przyznając wreszcie, iż nie warto nieudanej imprezy kontynuować, lecz w tym samym czasie Stany Zjednoczone w dalszym ciągu grzęzną w Afganistanie.

Pomimo miłych słów skierowanych do społeczności międzynarodowej i świata muzułmańskiego, dokonano niepotrzebnej interwencji w Libii, pozostawiając następnie kraj na skraju permanentnego załamania. Przygotowywano się do powtórzenia wadliwego scenariusza w Syrii. Z drugiej strony gdy rozgorzał poważny kryzys na Ukrainie, Waszyngton wraz z Brukselą wykazały zdumiewającą impotencję.

Błędem byłoby oczywiście zrzucać całą winę za zaniechania i zmarnowane szanse na prezydenta i jego najbliższych współpracowników. Amerykański system polityczny jest z zasady nieprzychylny wobec „odgórnych rewolucji”, zaś radykalizująca się Partia Republikańska wykazała niespotykany w historii poziom obstrukcji (z drugiej strony, lwia część zasługi za to, co udało się administracji uchwalić w Kongresie, przypada skutecznemu kierownictwu demokratów w obu izbach, nie zaś rządowi).

Usprawiedliwiać łatwo, ale wciąż pozostaje wiele do zarzucenia. Jako kandydat, Barack Obama rozbudził ogromne nadzieję, obiecując, iż aktywnie będzie zmieniał kraj. Otrzymał po temu szeroki mandat wyborczy. Lecz, już jako prezydent, okazał się bezbarwnym urzędnikiem, który stracił zdolność komunikowania się ze społeczeństwem, oraz wolę walki. Być może nigdy tak naprawdę jej nie posiadał. Być może dlatego rola „kulawej kaczki” będzie mu o wiele bardziej leżeć, niż poprzednikom.

Obama ma już zapewnione poczesne miejsce w amerykańskiej historii. Niestety, będzie to miejsce prawie wyłącznie symboliczne: pierwszy Afroamerykanin na czele państwa i ten, który jako kandydat wprowadził na polityczną scenę generację Facebooka i Youtube. Natomiast gdy mówimy o realnej spuściźnie trzeba przyznać, Obama nie jest Franklinem Delano Rooseveltem, Johnem Kennedym, Lyndonem Johnsonem czy nawet apostołem „Trzeciej Drogi” (i, przyznać trzeba, genialnym politykiem) Billem Clintonem. Pozostanie sporo symboliki i sporo zmarnowanych szans.

Autor: Krzysztof Pacyński

Źródło: Lewica.pl